

Książka latała

Marek Stokowski, ur. 1957. Ukończył studia na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Kustosz w Muzeum Zamkowym w Malborku. Twórca i propagator gier edukacyjno-przygodowych dla młodzieży i dorosłych. Opublikował wiele artykułów o tematyce związanej z pedagogiką muzealną oraz nowoczesnymi trendami w turystyce kulturowej. Od listopada 2005 do lutego 2006 radiowa Trójka nadawała codziennie odcinki jego powieści „Samo-loty” w interpretacji Dariusza Basińskiego i Jacka Borusińskiego, w reżyserii Barbary Marciniak. Marek Stokowski jest także autorem scenariusza filmu dokumentalnego „Mój dom w dolinie” w reżyserii Krzysztofa Grabowskiego (TVP 2) oraz prezentacji elektronicznej „Zamek Malbork — przewodnik”, Enninberg, Wrocław 2005.



Człowiek musi marzyć, musi mieć możliwość odrywania się od wypełniającej go po brzegi codzienności. Inaczej się udusi. Codziennność, głupota i niemoc jej skonfrontowania i odreagowania potrafią zabić w nas to, co najważniejsze. Do rozmowy o tęsknotach, życiu i jego sposobie widzenia przyjął zaproszenie pan Marek Stokowski, autor wielu książek. Osią zaś rozmowy stały się ostatnio wydane przez niego „Samo-loty”.

Początkiem wszystkiego w życiu i dla pana bohaterów jest...

Dzieciństwo. Tam, w tej przestrzeni i czasie wszystko się zaczyna. To, ile dostaniemy wtedy miłości, wiary, nadziei — a także kultury — decydować będzie o rodzaju naszego człowieczeństwa i sposobie życia. A jeśli, zamiast miłości i mądrości, otrzymamy wtedy tylko upokorzenia i rany, to wyjść z tego będziemy mogli tylko cudem. Z tym, że cuda się zdarzają. Czasem.

Rozdzielenie słowa w tytule SAMO-LOTY nie jest przypadkowe, prawda?

Rzeczywiście. Przełamanie tego słowa miało wydobyć jego dodatkowe znaczenia. Mam tu na myśli samotność bohatera mierzącego się ze światem i fenomen samo-latania, czyli latania własnymi siłami, to znaczy siłami własnej wyobraźni i pragnienia. *Samo-loty* to inaczej podróże samo-dzielne, samo-rodne, a w końcu samotne (zwłaszcza podróż trzecia).

Pana bohaterowie wsiadają do samolotu, uciekają do innej rzeczywistości. To taki pana rodzaj tęsknoty do czegoś innego?

Wyobraźnia bohatera tej opowieści kreuje potężną rzeczywistość alternatywną. Myślę, że jest to zjawisko dość powszechne wśród dzieci i nastolatków, ale też nie omija dorosłych (staralem się to pokazać na przykładzie powieściowej siostry Klary). Z jednej strony te imaginacyjne światy to kwestia naturalnej dla dziecka zabawy wyobraźnią. Z drugiej strony — ma pani rację — może to być rodzaj zaspokajania tęsknot, jakich nie możemy zaspokoić na jawie, na przykład tęsknoty za piękną miłością. Najbardziej dramatyczna wydaje mi się jednak trzecia opcja: marzenie może być rodzajem obrony przed opresją okrutnej rzeczywistości codziennej. Wtedy takie marzenia mają charakter wyraźnie ucieczkowy. Człowiek chroni się w stwarzanym przez siebie fantastycznym ogrodzie, Edenie, zamku i tam odpoczywa, zmęczony cierpieniami zaznanymi w świecie fizycznym. W tym wyimaginowanym świecie wszystko jest tak, jak być powinno. Jesteśmy kochani, bohaterscy i silni. Mamy co jeść i w co się ubrać. Nic nas nie boli. Wygrywamy najtrudniejsze zawody. Świeci słońce. Odbywamy pełne przygód podróże i spełnia się nasza miłość. Taka gra wyobraźni może mieć wręcz niewiarygodną moc. W skrajnych przypadkach grozi jednak zupełnym zanegowaniem rzeczywistości fizycznej, jej całkowitym odrzuceniem — a to już rodzaj choroby psychicznej (o którą podejrzewany jest ciągle bohater mojej opowieści). Tak więc marzenia bywają rozpięte pomiędzy przelotną, cudowną, twórczą igraszką umysłu a psychozą. W okresie szkoły średniej uciekałem często w marzenia o świetnej karierze piłkarza. To był rodzaj serialu, z kolejnymi sukcesami i radościami najbardziej uzdolnionego piłkarsko nastolatka Europy. Naturalnie, marzyłem też o podróżach. Zdarzało mi się również wchodzić w pocztówkę, która wisiała na ścianie pracowni fizycznej. To był jakiś krajobraz górski. Przechodziłem przez granicę tego obrazu i uciekałem z fizyki, chociaż moje ciało pozostawało nadal w klasie.

Co pan widzi z kokpitu samolotu, patrząc na otaczającą pana rzeczywistość?

Co do perspektywy z samolotowego kokpitu, to dla moich bohaterów była to perspektywa wolności. Oni nie patrzyli z góry na podły świat, z jakiego uciekają, ale na te światy, do których dążą — na Francję i Amerykę. Ze mną dzisiaj jest podobnie. Marzenie nie daje mi widoku na polską rzeczywistość pierwszego dziesięciolecia XXI w. Ono raczej przenosi w przestrzeń odmienne od tej rzeczywistości.

Muszę przyznać, że na szczęście moje dzisiejsze marzenia nie mają już charakteru ucieczkowego, a jedynie zabawowy, powiedziałbym odświeżający, ponieważ moja rzeczywistość codzienna, osobista, nie jest nie do wytrzymania. Przeciwnie — ona wydaje się być właśnie spełnieniem moich niegdysiejszych marzeń. Mam spokojną rodzinę, mieszkam w niezwykłym i pięknym miejscu (zamek Malbork), dość często latam samolotami, chodzę po moich ukochanych lasach, mam ciekawą pracę. Nie mam pieniędzy, ale to nie jest żadne nieszczęście. Co zaś do szerszej perspektywy, perspektywy mojego kraju, to powiem tylko tyle, że nigdy, w najśmielszych nawet marzeniach, nie przypuszczałem, że jeszcze za mojego życia Polska odzyska niepodległość, a ja będę mógł pisać bez komunistycznej cenzury.

Na swoim koncie ma pan całkiem pokaźną liczbę publikacji, spaja je pana zainteresowanie historią. Jak zaklasyfikowałby pan *Samo-loty*, przypisano im bowiem tylko określenie — powieść współczesna.

Pisanie *Samo-lotów* miało być dla mnie zmianą klimatu. Byłem już bardzo zmęczony pisaniem o Krzyżakach. Przypomnę, że wcześniej napisałem kilka książek popularnonaukowych o tej tematyce i dwie powieści historyczne. *Samo-loty* miały być po prostu opowieścią o potędze marzeń, o tajemnicach dzieciństwa, o moim Okęciu, bez żadnych

głębszych opisów ani refleksji historycznych. I miały być do śmiechu. A wyszło tak jak zwykle. To znaczy spod śmiechu, marzeń i dzieciństwa wyszła śmierć i wyszła też historia. One wyszły mimochodem, bez zaproszenia, arogancko. Ale widać, że tak już być musi. Ludzkie losy nie rozgrywają się w próżni. Zawsze goni nas jakiś drapieżnik i choćbyśmy nawet chcieli o nim zapomnieć, to on i tak gdzieś tam błysnie swoim krwawym zębem. Myślę, że *Samo-loty* są rzeczywiście powieścią współczesną, co wcale nie znaczy, że nie pojawia się w nich historia. Tyle że jest to po prostu historia współczesna, wspomnienie PRL-u. Ufam, że w tej opowieści mogliby się też odnaleźć czytelnicy i z innych podobnych światów, choćby z dawnej NRD, Czechosłowacji itd.

Synonimem wolności i spełniających się marzeń dla pana bohaterów są dobra materialne, ale to tak na pierwszy rzut oka... a tak naprawdę...

...a tak naprawdę jest nią dla Marcina Sadowskiego życie bez lęku. Ta kwestia jest dla niego papierkiem lakmusowym, którym sprawdza, czy jest w wolnym kraju. Jego wyśniona Francja i wyśniona Ameryka to przestrzenie, gdzie dzień nie zaczyna się od przerażenia, gdzie życie ma smak przygody a nie udręki. Kiedy po wielkich podróżach nasz bohater wraca do świata peerelowskiej opresji, rozpoznaje zmianę przez ponowny atak lęku, a przy okazji przez osobliwy zapach stęchlizny. Kto świadomie przeżywał czasy komunizmu, ten być może pamięta nie tylko ów wszechobecny smród w sklepach, autobusach, pociągach, urzędach i szkołach, ale też ten płomyk lęku, który zawsze — dzień i nic — palił się w piersiach, zawsze gotowy do wybuchu w ogień strachu. Byliśmy w tym lęku szkoleni, tresowani od przedszkola i pierwszych klas szkoły podstawowej. I była to tresura skuteczna. Wczoraj widziałem w telewizji rozmowę ze starszą panią, mieszkanką Wileńszczyzny. Na błahe pytanie redaktora polskiej telewizji odpowiadała niemal szeptem, rozglądając się podejrzliwie dookoła. W niej ten lęk nie zgaśnie już nigdy, bowiem zbyt głęboko wrósł w jej ciało. Bohaterowie mojej opowieści, ludzie z mojego pokolenia, byli poddawani jego torturze znacznie krócej i dlatego mają większą szansę na wyleczenie. Muszę tu jeszcze powiedzieć, że jednym z najlepszych lekarstw na lęk i strach jest śmiech. I dlatego tak bardzo chciałem, aby ta opowieść była pełna humoru. Starsi ludzie, którzy przeżyli bez porównania cięższe czasy wojny i pierwszych dekad komizmu, twierdzą, że śmiech przynosił im wielkie wytchnienie i dodawał odwagi. I pewnie dlatego dyktatorzy tak bardzo nienawidzą śmiechu i komediantów.



Fotografia wykonana w Traffic Clubie przez Wojciecha Babskiego.

To prawda, potrafi pan nawet zaśmiać się nad sceną, kiedy życie miesza się ze śmiercią.

"Jak do tego mogło dojść, że o tej samej porze, w jednym dniu, godzinie i minucie, na tych samych, wąskich schodach, ci pierwsi wnosili, a drudzy znosili? Ostatecznie czy tak często dźwigano tam u nas pianina i ekspediowano martwe ciała? Tak czy owak, stało się i, proszę państwa, koniec — ten pierwszy, co dzierzył nieboszczkę Świtalską od dołu, uderzył plecami

w owego, co parł jako pierwszy z pianinem od góry". A tak na marginesie, to prawdziwa historia?

Nie, na szczęście ta scena to tylko urojenie bohatera — a może nie zwałajmy wszystkiego na Marcina — to urojenie autora. Jest w niej czarny humor, wiem — na granicy dobrego smaku - ale zwracam uwagę, że dzieci i nastolatki nie stawiają zbyt ciasnych granic dla swych fantazji. To jest kluczowa kwestia dla całej tej opowieści, ona idzie tropem dziecięcej wyobraźni i właśnie w takiej poetyce jest napisana. To nie jest poetyka snu, jakiej uczyliśmy się od surrealistów, ale właśnie poetyka fantazji. Ta poetyka bywała i bywa wykorzystywana w literaturze z wielkim powodzeniem. Czynił to na przykład Miron Białoszewski. Dziś w teatrze i filmie odnaleźć można jej wyraźne ślady choćby w twórczości MUMIO.

Małymi garściami rzuca pan inteligentnemu i nieco bardziej obytemu czytelnikowi garść historii tego, co tworzy człowieczeństwo. Tak między wierszami... a jednak wychodzi z pana dusza historyka (uśmiech). Myśli pan, że młody czytelnik odczyta te niuanse i odbierze klimat tamtych czasów, tak jak pan tego chce?

Zupełnie nie wiem, jak tego rodzaju tekst, napisany przez 45-latkę, może być przyjęty przez współczesnego czytelnika, zwłaszcza młodzież. Ów młody człowiek nie będzie miał raczej szans na odczytanie aluzji do rzeczywistości z przełomu lat 60. i 70. XX wieku, ale ufam, że będzie mógł zidentyfikować się z rodzajem wrażliwości bohaterów, tak jak my odnajdujemy się czasem w postaciach z XVIII czy XIX stulecia. Mam nadzieję, że to co jest w dzisiejszym młodym czytelniku dzieckiem, spotka się z dzieckiem, które kryje się w tekście.

No i na dokładkę pojawia się ONA, czasami kusząca dla dojrzewającego Marcina, w mokrej bluzeczce...

No właśnie, to jedna z szans na porozumienie z czytelnikami z innych pokoleń. Doświadczenie pierwszej miłości, pierwszych pragnień, z całą pewnością jest czymś wspólnym dla dziesiątków tysięcy pokoleń *homo-sapiens*. Ale nie pisałem o młodzieńczej miłości po to, aby uwodzić czytelnika! Pisałem o tym, bo tak to wychodziło, bo była w tym prawda o moich bohaterach. Przyznam, że mimo całej niewinności i naiwności tych erotycznych fragmentów powieści, później zadawałem sobie pytanie, czy pozostawić je w książce. Ktoś puknie się w czoło i powie, że chyba zwariowałem. Dzisiaj, w zalewie literatury niemal pornograficznej, ja chciałbym pozbywać się scen — jak już mówiłem — niemal absolutnie niewinnych! No tak, ale o to właśnie chodzi, że dokoła nas zdaje się rozbrzmiewać już zbyt wiele młodzieńczych erotyków i nie chciałem do tej kolekcji dokładać nowych „momentów". Po co na okrągło drażnić ludzkie zmysły? W końcu pozostawiłem jednak te sceny w przekonaniu, że nie są zabawą, igraszką, marną prowokacją, ale odkrywają ważne zakamarki duszy młodego, dojrzewającego człowieka.

Książka-latadło, bo pozwoli nam odlecieć tam, gdzie chcemy... do dzieciństwa, do świata wyśnionego, do sedna naszego jestestwa...?

Latadło to słowo, jakim bohater określa robione przez siebie urządzenia latające. A są to aparaty składane z najbardziej przypadkowych elementów, w gruncie rzeczy z odpadów, ze śmieci. Latadło wznosi się w powietrze siłą wyobraźni i siłą pragnienia jego pilota. Tę nazwę przyłożył do mojej książki ktoś inny. I jest to dla mnie wielki komplement. Jeżeli rzeczywiście dzięki temu tekstowi skleconemu z rupieci wyobraźni, choć kilku czytelników będzie w stanie odbyć ciekawe podróże, to będę bardzo szczęśliwy. Dokąd można polecieć

tym latałem? Z jednej strony — z całą pewnością do Polski roku 1970., do szkoły, gdzie prawie wszystko boli, do biednej kamienicy na przedmieściach Warszawy, do ludzi, którzy są jak kamienie i do innych, którzy ratują i ocalają tych, którzy cierpią. Być może *Samo-loty* są też w stanie pomóc czytelnikom w powrotach do ich własnego dzieciństwa, z całym jego bólem i szczęściem. Chciałbym też bardzo, aby pomagały wierzyć w niewiarygodną potęgę wyobraźni i potęgę pragnienia, bo te potęgi potrafią nie tylko podrywać do lotu meble, gaśnice i wentylatory, ale także odmieniać na lepsze nasze życie.

A więc lećmy...

Wspólny lot odbywali Katarzyna Bocheńska i Marek Stokowski